TOŻSAMOŚĆ · RECENZJA

RECENZJA SERIALU „NOWY PAPIEŻ”

Kacper Kita · 5 października 2020

Serial „Młody Papież” odniósł wielki sukces, ciesząc się popularnością także w kręgach tęskniących za Kościołem bardziej wojującym. Wcześniej reżyser, Paolo Sorrentino, nakręcił znakomite filmy na temat życia w ogóle, poszukiwania w nim sensu, estetyki i autentyzmu („Skutki miłości”, „Wielkie piękno”), a także mierzył się z brutalnym światem polityki (świetny „Boski” o Andreottim, wyraźnie słabszy „Oni” o Berlusconim). Tu w Watykanie obie te fascynujące płaszczyzny się przecinają. Nic dziwnego więc, że kolejnej odsłony serialu wyczekiwało wielu sympatyków talentu Włocha. W tym również niżej podpisany. Zapraszam do lektury tej nieco bardziej osobistej niż zwykle wędrówki.

„Nowy Papież” nie był tak udany jak „Młody”. Mimo to mi się podobał, zwłaszcza pierwsze dwa odcinki i ostatnie trzy. Odrzucał mnie jedynie wątek Esther, ale wrócę do tego później. Zakończenie jest wyjątkowo oniryczne, typowo Sorrentinowskie, i tylko dlatego wiarygodne. Wielu na nie narzeka. Nie wiem, czy mogłoby być inne. Oczywiście, serce by chciało spektakularnego tryumfu Lenny’ego i Tradycji. Jakiego właściwie tryumfu? Nie wiem. Jest to perspektywa dziś równie odległa co niepodległość, gdy w Polsce powstawały dzieła „ku pokrzepieniu serc”. Tą desperacką (bo przecież, brutalnie mówiąc, wybitny reżyser nie jest „nasz”) potrzebą tłumaczę sobie popularność serialu wśród konserwatywnych katolików. Zainteresowanie wśród szerszej publiczności wydaje się zaś wynikać z walorów estetycznych i smakowych tego „ciasta” oraz zawartych w nim okruchów transcendencji, czegoś „nie z tego świata”. I to właśnie skonfrontowany z majestatem Kościoła, według słów kardynała Voiello „najstarszej instytucji w historii świata”, nieuprzedzony widz wyczuwa, choć nie zawsze jest w stanie to nazwać.

Według mnie centralnym problemem tego sezonu jest miłość. Dotyczy to nie tylko „głównych” Papieży. Zatem zacznijmy od nich. Obaj protagoniści zostali odrzuceni przez swoich rodziców, są ludźmi bez normalnego doświadczenia kochającej rodziny. Taki człowiek nie otrzymał w młodości swojej porcji bezinteresownego ciepła, co bardzo utrudnia mu utrzymanie stabilności psychicznej. Komuś takiemu ciężko uwierzyć, że komukolwiek może na nim naprawdę zależeć, że dostępna mu jest ta najbardziej podstawowa potrzeba każdego człowieka, zakorzenienie swojego losu w drugiej istocie – i bynajmniej nie mówię tu tylko o czysto romantycznej relacji. Ktoś (mniej lub bardziej dosłownie) porzucony przez rodzica jest mocno narażony na posiadanie przez całe życie takiego urazu, który będzie zatruwał wszelkie jego próby nawiązania bliższych relacji. Skoro nawet matka lub ojciec mnie odrzucili, jaką mam gwarancję, że nie odrzuci mnie ktoś nazywający się moim przyjacielem? Łatwo tworzy się przekonanie, że być może na taki właśnie przykry los zasłużyłem, być może to we mnie jest coś, co ludzi odpycha i pogłębia się z każdym niepowodzeniem.

Obaj są zagubieni, mają problem z dawaniem i przyjmowaniem miłości od innych. W „Młodym Papieżu”

Lenny mówi: „Kocham Boga, bo kochanie ludzi tak bardzo boli". Bardzo chciałby kochać i być kochanym, ale boi się tego. Czuje lęk, że gdy się otworzy, to znów zostanie poraniony. Pewnie w dużym stopniu dlatego nie wchodzi w romans z Esther. Stara się narzucić sobie ostre zasady, zachowywać dystans wobec każdego, by nie wiązać się nadmiernie i nie narażać na cierpienie. To jego sposób odnalezienia się w świecie po katastrofie, mocna afirmacja danego z Góry porządku, wymagań, rygoru. Na własną przerażającą marność Lenny odpowiada chęcią przyjęcia na siebie odpowiedzialności i cierpienia. Momentami, zwłaszcza na początku, popada przez to w pychę. Stopniowo udaje mu się jednak odnaleźć coraz więcej ukojenia w mozolnie rzeźbionym Ładzie. Porządku wewnętrznym i zewnętrznym, który buduje, wymagając od wiele siebie oraz idąc na przekór oczekiwaniom otoczenia.

Przychodzi tu na myśl Gombrowicz – jakiż lepszy sposób, by inni uznali mnie za geniusza, niż nałożenie maski geniusza i mówienie o sobie „ja, geniusz"? Traktowanie innych, ich porad i „przyjętych konwencji" jako mniej wartych niż moje pomysły? Pomiatanie, nawet takim asem, jak Voiello? O swoją pozycję trzeba walczyć bezwzględnie. To strategia ryzykowna, ale umożliwiająca sukcesywne zabijanie w sobie egzystencjalnego lęku, przerażenia koniecznością istnienia. W końcu tylko sam bohater Jude'a Lawa (ewentualnie jego spowiednik) wie, że nawet jako Papież tak naprawdę nie zawsze umie uwierzyć w Boga.

> Tylko on sam zna swoje słabości, rany, wahania. Ale nie użala się nad sobą, dla zewnętrznego odbiorcy stara się być maszyną ze stali. Tym samym nawet taki grzesznik może stać się autorytetem dla wielu dramatycznie potrzebujących oparcia zagubionych wiernych.

Może im dać świadectwo. To świadectwo, którego najbardziej potrzebują zwłaszcza ci, równie co on są poturbowani przez życie: że warto istnieć i warto się starać.

John Brannox z kolei to typowa krucha „delikatna porcelana". Nie akceptuje siebie i ma poczucie, że świat jego nie znosi. Intelektualista znający na wyrywki chwyty, traktaty – i tym bardziej nie umiejący się zdobyć na przejęcie się losem swoim i świata, w czym utwierdza go niewypowiedziane przekonanie, że przecież zna wszystkie możliwe odpowiedzi i porady. Oczywistym jest zatem, że żadne z nich nie mogłoby mu dać szczęścia, z jego sytuacji nie ma wyjścia. „Bóg mnie nie lubi" – powtarza. Przeżywa swoją marność, ułomność, które wbijają go coraz głębiej i głębiej w paraliż. Dodatkowo wie, że swoją karierę zbudował na kłamstwie i braku odwagi – choć kto nie ma ciemnych sekretów, których się wstydzi i które rozpaczliwie próbuje ukryć? Ta tajemnica, którą reżyser mądrze wyjawia nam dopiero pod koniec sezonu, powoli odsłaniając kolejne puzzle, co tylko zwiększa w postaci Malkovicha niskie poczucie własnej wartości i przekonanie, że najwyraźniej jako zakłamany i ponoszący winę za rodzinną tragedię uzurpator zasłużył na swoje cierpienie. Zasłużył, by całe życie czuć się gorszym. Zasłużył, by rodzice go nie kochali. Zasłużył, by być nieszczęśliwym. I nie ma, nie może być z tego położenia żadnej ucieczki.

Jednocześnie wie, że pełni rolę autorytetu. Wielu postrzega go jako postać wybitną. To nie pomaga. Po pierwsze, rozmaite towarzyskie zabawy i zobowiązania pozwalają mu zabijać czas w życiu, którego nie lubi i nie chce. Po drugie, przepaść między społeczną pozycją a „tą straszną, mroczną prawdą, którą tylko ja o sobie znam" tylko utwierdza go w paraliżującym lęku i przekonaniu, że po prostu nie warto. Że nie ma sensu. Że spędzi życie w swoim pałacu, ograniczając się do zabawiania się intelektualnymi rozrywkami i rozgrywkami (takich jak pierwszy dialog z Voiello). Stopniowo gnuśniejąc i zatracając zdolność

do jakiejkolwiek aktywności, za którą by sobą nie gardził, i tym samym stale zmniejszając (w swoim przekonaniu jak i naprawdę) szanse, by kiedykolwiek się z tego paraliżu wyrwać. By jeszcze spróbować. Każdego dnia zyskując więc kolejne powody, by utwierdzać się w myśli, że na swoje nieszczęście zasłużył – w końcu każdego dnia je wybiera na nowo!

Na czysto racjonalnym poziomie ma jednak oczywiście świadomość, że jest bardzo inteligentnym i zdolnym człowiekiem, jakkolwiek nie lubiłby sam siebie. Jest w nim też jeszcze jakaś iskierka nadziei, maleńka wiara, że może mu się jeszcze w życiu coś udać, i to samemu – coś, na co naprawdę by zasłużył. Dlatego ugina się wobec zagrywki Voiello i daje się przekonać, by opuścić swoje pięknie zdobione, lecz gnuśne legowisko, wyjść ze złotej klatki i objąć Stolicę Piotrową. Wtedy przez chwilę jest radosny.

Pius XIII grał kogoś w pełni siebie akceptującego (ba, wręcz zadufanego w sobie, aroganckiego dyktatora), by inni go akceptowali, szanowali, nawet bali. Z czasem, gdy wypracował sobie pozycję, udało mu się wygładzać swoje zachowanie i zdobywać przyjaciół takich jak Gutierez. Zdobył też szacunek Voiello, a potem panowie mogli już współpracować bez prób wzajemnego poniżania się, być może nawet nieco się polubić. Właśnie dzięki trzymaniu się swojej roli, a także odmawianiu sobie zaspokojenia kaprysów czy popędów (jak w przypadku podsuniętej mu Esther) sukcesywnie zyskiwał poczucie własnej wartości dające mu osadzenie w rzeczywistości. Z kolei Jan Paweł III z góry ostrzegał wszystkich przed swoją słabością. Te jego słowa z jednej strony stanowią rodzaj samopotwierdzającej się przepowiedni: „Opuść mnie już teraz, nie rób mi złudzeń. I tak zrobiłbyś to potem". Z drugiej zaś stanowią szept rozpaczy. Za każdym razem kryje się za nimi cień nadziei, że może tym razem jednak będzie inaczej. Szuka uznania u innych, zanim zdobywa się na minimalną akceptację siebie i swojego własnego istnienia – co zawsze tożsame jest z miłością Boga i danego nam przez Niego doczesnego świata, zawierającego w sobie tyle niesprawiedliwości i cierpienia, z którymi tak często nie umiemy sobie poradzić.

Brannox nie wierzy więc, że Bóg go kiedykolwiek lubił lub chociaż może polubić. Dalej wątpi. Spotkania z gwiazdami popkultury czy efektowne sesje zdjęciowe są kolejnymi przykładami na to, że podstawową potrzebą Brannoxa jest poklask, pochwała, uznanie innych. Niestety, nie dają mu oparcia, nie wypełniają pustki, wciąż nie czuje się kochany. Stopniowo ulega więc swoim własnym słabościom. Chęć udowodnienia światu własnej wartości prowadzi go coraz bardziej w stronę buntu wobec „nie lubiącego go" Boga. Jako wybitnie inteligentny i gruntownie wykształcony człowiek ma oczywiście świadomość, czym jest Kościół. Jak to mówi prostym językiem, odpowiadając Sharon Stone – że nie jest iPhone'm, że nie da się go zaktualizować. Ale skoro ja tak cierpię, skoro świat jest taki niesprawiedliwy, to czemu nie spróbować jednak pójść pod prąd? Przyjąć permisywistyczną definicję miłości. Desperacko spróbować dać ukojenie sobie i innym (o czym dostojnie mówi potem do zebranych na placu Świętego Piotra), którzy nie chcą żyć, za pomocą zakrzyczenia, „zatulenia" świadomości własnych ułomności? Może jednak otwarcie się na „zakazaną miłość" choć trochę pomoże, zmniejszy ból?

W decydującej chwili, gdy ma ogłosić w telewizji radykalne zerwanie z nauczaniem Chrystusa i Kościoła, nie daje rady udźwignąć tego ciężaru. Jest to zresztą kapitalny zabieg reżysera, który w swoim stylu nie daje jasnych odpowiedzi. Być może nie chce dawać banalnych, a potencjalnie pozornych rozwiązań. Nie rozstrzyga kryzysu Kościoła ani w jedną, ani w drugą stronę. Ten moment zawahania, który ratuje Papieża przed jawnym zerwaniem z Chrystusem, możemy odczytać (jak ja, wstrętna, zamknięta konserwa) jako rodzaj Boskiej interwencji. Deus ex machina. Bezpośredniej lub pośredniej (poprzez nakaz danego każdemu człowiekowi, również Brannoxowi, sumienia). Progresista mógłby z kolei ubolewać nad tym, że

bohater Malkovicha przegrywa ze swoją słabością, nie „otwiera się na miłość". Następnie znów popada w paraliżujący lęk i zwątpienie, wyjeżdża z Rzymu. Nie wierzy, by była wartość w jego istnieniu i nie wierzy, by mógł się na cokolwiek przydać.

Jan Paweł III reprezentuje tu przeciwstawne w stosunku do tych Piusa XIII skłonności człowieka, te tak celebrowane przez współczesność – miłość jako akceptacja „siebie takim jakim się jest", jako afirmacja własnych słabości, próba naprawienia cierpienia swojego i innych poprzez wykrzyczenie wobec świata, że warto żyć. Niestety, za tą drogą kryje się negacja rzeczywistych zasad rządzących człowiekiem, która nie może dać spełnienia, to zagłębianie się w otchłań rozpaczy bez dna. Ludzie próbujący operacyjnie „zmienić płeć" nie zmniejszają swojego poczucia braku akceptacji, nieprzypadkowo 40% z nich odbiera sobie potem życie. Nie wynika to z „braku tolerancji", tylko z błędnego, permisywistycznego rozumienia miłości. A miłość jest połączeniem bezinteresownego ciepła i oddania z roztropną opieką. Dawaniem komuś pewności, że będziemy przy nim, że nie musi się bać porzucenia, ale zarazem zawracania go, gdy robi źle. Pamiętaniem, że bliski człowiek dalece nie zawsze wie sam, co dla niego dobre. Często, jak bohaterowie tego serialu i bohaterowie zwykłego ludzkiego życia, kieruje się rozpaczą lub resentymentem.

> Pomoc bliskiemu to „będę przy tobie i będę o ciebie dbał zgodnie ze swoją najlepszą wolą", a nie „będę przy tobie i będę cię wspierał we wszystkim, na co będziesz miał akurat ochotę".

To oczywiście moja opinia i interpretacja. Reżyser stawia tylko ten problem. Nie rozstrzyga go. Chcielibyśmy, żeby go rozstrzygnął – ale on sam zapewne nie chce i nie umie. Artyści są od stawiania pytań, a nie od dawania odpowiedzi. Nie ma w tym niczego złego. Doceniam to, że w ogóle go stawia i że nie rozstrzyga w drugą stronę. Na koniec wszyscy bohaterowie pozostają jak byli: grzeszni, zepsuci i odczuwający tę pustkę, a czasem i rozpacz. Brannox próbuje dalej iść swoją drogą, akceptując swoje słabości, afirmując je i licząc, że dzięki temu będzie się wreszcie czuł akceptowany przez świat i Boga. Ale widz ma szansę wybrać.

Zadowolony jestem również dlatego, że tryumfuje kardynał Voiello, moja zdecydowanie ulubiona postać. W jego wątku też pojawia się zresztą miłość skierowana wobec niepełnosprawnego chłopca Girolamo. Całe dwa sezony mogliśmy obserwować, że na co dzień wyrachowany i bezwzględny kardynał sekretarz stanu też potrzebuje kogoś, komu mógłby dawać ciepło i czyim ciepłem mógłby się ogrzewać. I on też jest człowiekiem.

Mamy też, jak wspomniałem, mniej przypadający mi do gustu – motyw Esther. Jak wszyscy dostaje po głowie od życia i popada w kolejne, coraz bardziej odrażające i amoralne uwikłania. Motyw „świętej dziwki" jest w kulturze bardzo popularny. Nie bez powodu. Znajdziemy go w klasyce klasyk, choćby pod postacią Sonii Marmieładow ze „Zbrodni i kary" Fiodora Dostojewskiego. Dziś pojawia się tylko czasem i to niekoniecznie w groteskowo upolitycznionej (lecz społecznie autentycznie niebezpiecznej) formie „walki o tolerancję dla sex workerek". W „Królu" i „Królestwie" Szczepana Twardocha Ryfka Kij zdecydowanie nie jest (jak to u tego autora) postacią o czystym sercu, ale jej nieprawdopodobnie silna i prowadząca do nadludzkich wysiłków miłość do Jakuba Szapiry jest poruszająca i nie ma w sobie nic nieautentycznego. Też jest człowiekiem. W jednym z wczesnych opowiadań Twardocha znajdziemy zresztą charakterystyczną (i wiążącą się z tematem tego tekstu) uwagę na temat młodziutkich adeptek najstar-

szego fachu świata. Brzmiało to mniej więcej: „podczas spotkań z klientami, wyobrażała sobie, że któryś zakocha się w niej i weźmie ją za żonę". Tu przypomina się z kolei wyrywana z naiwności bohaterka „Notatek z podziemia". Motyw taki jest bardzo częsty, a łańcuch skojarzeń mógłby pewnie liczyć setki ogniw. Ta najbardziej podstawowa ludzka potrzeba, nadzieja na bycie kochanym, nigdy całkowicie nie zanika. Naprawdę ciężko bez niej żyć. A ile jest w życiu braku nadziei, tyle rozpaczy. Da się oczywiście ułożyć sobie samotnicze życie i pędzić je w sposób względnie szczęśliwy, ale jest to bardzo wymagające i zawsze znajduje się w tym element negacji, odebrania sobie tego najprostszego sposobu spełnienia. Pomijam w tym miejscu rozważania na temat celibatu – nie chcę uciekać w za wiele dygresji, a moje poglądy na ten temat są przewidywalne.

Motyw Esther w „Nowym Papieżu" wydał mi się jednak momentami głupiutki, estetycznie odpychający, przerysowany i nużący, jakby służący w dużym stopniu zapchaniu czasu. Z drugiej strony jest pewnie prawdą, że ktoś przymuszony do praktykowania obrzydliwych czynów, by żyć, próbuje odnajdywać w nich jakieś ziarenka miłości, udawać, że jest w tym jakaś miłość. Jakaś jest na pewno o tyle, że kupczy ciałem nie tylko dla siebie, ale i dla przetrwania syna. Wydaje się też prawdziwe, że tacy nie mający szans na normalnego zbliżenie z kobietą „odmieńcy" jak Attanasio zawsze będą tęsknić za szczerą, niesprowadzoną do wulgarnego, ohydnie odartego z normalnego procesu zbliżania się między najbliższymi sobie ludźmi aktu cielesnego miłością. Zaspokajanie się z prostytutką czy nieszczęsna pornografia, na której chłopak spędzał całe dnie, zawsze będą żałosnym substytutem, negacją tego szczęścia, którego człowiek pragnie.

Najważniejsze w serialu jest postawienie problemu miłości, podstawowej życiowej potrzeby człowieka, kochania i bycia kochanym – szczególnie dziś będącego w centrum starć kulturowych i politycznych. Dominujące siły promują radykalnie poprowadzoną drogę Brannoxa, emancypację ze „złego świata" i cierpienia poprzez afirmację swoich słabości. W rzeczywistości prowadzi to tylko głębiej w otchłań rozpaczy. W negacji nie ma spełnienia, dlatego nigdy nie nadejdzie moment, w którym tacy nieszczęśliwi ludzie sami z siebie zrozumieją, że błądzą, zawsze będą mogli (szczerze, nie cynicznie przecież) kolejny raz przywołać podłość niesprawiedliwego, krzywdzącego ich świata. Trzeba i warto próbować ich z tej drogi nawracać. Temat jest tym bardziej aktualny, że rozbite rodziny są już dziś czymś powszechnym, a egoizm ludzi płodzących dzieci wskutek przypadkowych znajomości z kimś, z kim wcale nie chcieli się trwale związać, czy porzucanie swoich rodzin, czymś przedstawianym jako moralnie nienaganne. A dlaczego Lenny? I dlaczego on ze swoich doświadczeń idzie inną drogą niż John? Najkrócej mówiąc – bo Lenny nie jest, nie umie i nie chce być letni. Nie grzęźnie, nie zastyga w paraliżu zwątpienia. Umie być tylko zimny lub gorący. A tego właśnie chce od człowieka Bóg.

Fot. kard z nagrania https://www.youtube.com/watch?v=ayNTmJEXZko

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/recenzja-serialu-nowy-papiez/

WSPÓŁTWÓRZ NOWY ŁAD

Za Nowym Ładem stoją czytelnicy, którzy dorzucają się do jego istnienia. Dołącz do nich — jednorazowo, w kwocie, która Ci odpowiada.

DOŁĄCZAM

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć